



Bronisław JAKUBIEC SDS*

„TYLKO JA JEDEN OCALAŁEM”

W trakcie poszukiwań dowiedziałem się, że cały transport Żydów wiezionych do Auschwitz pociągiem z Holandii, który z powodu awarii semafora zatrzymał się na stacji Nowa Wieś (Wirek) w tamtą burzliwą noc z 2 na 3 czerwca 1942 roku, został wymordowany. Wszyscy z tego transportu po przyjeździe do obozu skierowani zostali do komory gazowej. Tylko ja jeden ocalałem.

W osiemdziesiąt rocznicę
zakończenia drugiej wojny światowej.

Był to kolejny rok drugiej wojny światowej. Czerwiec 1942 roku na całym Śląsku rozpoczął się deszczową aurą. 2 czerwca, we wtorek w nocy, rozpętała się gwałtowna burza i piorun uderzył w semafor na stacji kolejowej Nowa Wieś (Wirek). Awaria semafora spowodowała zatrzymanie pociągu towarowego, który jechał z Holandii, wyruszywszy ze stacji Hooghalen. W wagonach towarowych nie było jednak żadnego towaru, przewożono w nich pełnych trwogi, głodnych, wyczerpanych podróżą i śpiących na drewnianej podłodze ludzi. Byli to Żydzi z obozu przejściowego Westerbork w Holandii, transportowani do niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz. Pociąg czekał na usunięcie awarii semafora i pozwolenie na wyjazd w dalszą drogę. Powiadomiony o awarii, jeszcze w nocy, na stację udał się zawiadowca, pan Antoni Myśliwiec. Kiedy po odblokowaniu semafora szedł w kierunku peronu i znalazł się obok powoli ruszającego pociągu, z niewielkiego okna wagonu wychyliły się ręce kobiety, która podała mu niemowlę. Pociąg powoli oddalił się. Na pustym dworcu, z niemowlęciem w ramionach, w ciemną deszczową noc pozostał zatrwożony zawiadowca. Co teraz robić? – myślał intensywnie. Natychmiast zrozumiał, że trzyma na rękach dziecko żydowskie, a wiedział, że za pomoc Żydom można stracić życie. W jego głowie kotłowały się myśli, serce kołatało mu ze strachu. Rozejrzał się wokół siebie, czy w pobliżu nie ma jakiegoś świadka całego zajścia. Odetchnął, na szczęście był sam. Otaczał go mrok nocy, a wokół słychać było wyłącznie deszcz. Burza powoli przesunęła się, błyski na niebie widać było już tylko w oddali, gdzieś z daleka dochodziły

* Bronisław Jakubiec SDS – członek Towarzystwa Boskiego Zbawiciela, e-mail: jakubiec@sds.org [pełna nota o Autorze na końcu numeru].

jeszcze odgłosy grzmotów. Zawiadowca nie wrócił od razu do domu. Udał się do swojej siostry, która mieszkała niedaleko stacji kolejowej. Po rozmowie doszli do wniosku, że niemowlę trzeba po prostu przyjąć do rodziny, a przede wszystkim jak najszybciej ochrzcić i nadać mu imię. Tak też uczyniono. W sobotę, 6 czerwca, zawiadowca zaniósł dyskretnie dziecko do kościoła, prosząc księdza o chrzest. Duchowny udzielił sakramentu i niemowlę otrzymało imię Antoni. W parafialnej księdze chrztów przy dacie 6 czerwca 1942 roku zapisano: „znaleziony na stacji kolejowej Wirek”. Owo niesamowite wydarzenie uratowania od zagłady rozpoczęło historię życia księdza Antoniego Myśliwca, dziś salwatorianina¹. Warto ją przypomnieć w obecnym roku 2025, w którym przypada już osiemdziesiąta rocznica wyzwolenia niemieckiego obozu w Auschwitzu i zakończenia drugiej wojny światowej. O początku swojego życia opowiada on sam, ocalony przed zagładą.

Zapytany przeze mnie, kiedy dowiedział się o niezwyklej historii swojego pochodzenia², ksiądz Antoni mówił: „Tak naprawdę już od czasu mojego dzieciństwa dochodziły mnie słuchy, że mówi się o mnie «Żyd». Oczywiście jako dziecko nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, co to znaczy. Wychowywałem się w licznej rodzinie. Miałem dwie siostry i czterech braci. Różnica wieku między nami była bardzo duża. Najmłodsza siostra, Teodozja, miała wtedy osiemnaście lat. Pomiędzy siostrami urodzili się czterej bracia, którzy w czasie, kiedy dołączyłem do rodziny, byli gdzieś na wojnie. Przybrani rodzice też nie byli już młodzi. Ojciec Antoni miał pięćdziesiąt osiem lat, a mama Elżbieta – pięćdziesiąt trzy. O wszystkim, tak w szczegółach, dowiedziałem się dopiero, kiedy miałem dwanaście lat. Poszedłem wtedy na przyjęcie imieninowe mojej koleżanki Zosi. Było to dokładnie piętnastego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. W prezencie przyniosłem filiżankę z dwoma uszkami, wypełnioną słodyczami i przewiązaną czerwoną wstążką. I to właśnie wtedy, kiedy bawiliśmy się z rówieśnikami na tej imieninowej imprezie, zajrzał do nas ojciec Zosi. Kiedy pokazała mu prezent ode mnie, zażartował: «Ooo, filiżanka z dwoma uszkami i ta czerwona wstążka – to takie żydowskie». I to właśnie wtedy, jako dwunastoletni chłopak, zapytałem, co przez to rozumie, a on ze zdziwieniem zapytał, czy ja naprawdę nic nie wiem o swoim pochodzeniu. Po powrocie do domu zacząłem wypyttywać rodziców. Ze szczegółami dowiedziałem się od nich wówczas wszystkiego, co o godzinie drugiej w nocy w ową burzliwą noc z wtorku na środę, 3 czerwca 1942 roku, wy-

¹ Ksiądz Antoni Myśliwiec, obecnie emeryt, przebywa we wspólnocie zakonnej salwatorianów w Trzebnicy (w diecezji wrocławskiej). W trakcie swojej posługi duszpasterskiej pracował na misjach w Brazylii, Czechach i w Polsce. Dziś nadal służy jako pomoc duszpasterska w parafii p.w. św. Bartłomieja Apostoła i św. Jadwigi Śląskiej w Trzebnicy i jest kapłanem miejscowego Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego, a także sióstr boromeuszek, które zakład ten prowadzą.

² Rozmowa odbyła się 31 marca 2025 roku.

darzyło się na stacji kolejowej Nowa Wieś (Wirek). Dzisiaj moi przybrani rodzice i rodzeństwo już nie żyją. Jeden z braci, Stanisław, po wojnie pozostał w Wielkiej Brytanii. Poznałem go dopiero po latach, kiedy udało mi się go odwiedzić”.

Zapytałem też księdza Antoniego o to, jak zrodziło się w nim powołanie do kapłaństwa i jak się to stało, że wstąpił do zgromadzenia zakonnego księży salwatorianów. „Rodzina, w której się wychowałem – mówił – była wierząca i praktykująca. Ta pobożność moich przybranych rodziców stała się dla mnie wzorem. Myślę, że duży wpływ na moje powołanie miała również siostra ojca, Konstancja. Była bardzo aktywną zwolenniczką Wojciecha Korfanteo, który walczył o Polskę na Górnym Śląsku, i należała do grupy osób zaangażowanych na rzecz kontynuacji jego działań. Konstancja była kolporterką polskiej prasy religijnej, którą drukowano w Drukarni Karola Miarki w Mikołowie, i ofiarowała nam egzemplarz Pisma Świętego. Mogliśmy po polsku czytać wszystkie czasopisma religijne, które przynosiła do domu. Wtedy zakiełkowałam we mnie myśl, że mógłbym zostać kapłanem. Z perspektywy wielu już lat życia zakonnego odczytuję ją dzisiaj jako prawdziwe Boże powołanie. Miałem wtedy osiemnaście lat, byłem po maturze, którą zdałem w liceum ogólnokształcącym w Rudzie Śląskiej, i podjąłem pracę biurową. To właśnie wtedy poprosiłem o przyjęcie do Śląskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Katowicach. Niestety, kiedy udałem się tam na rozmowę, otrzymałem odpowiedź, że nie ma już miejsca. Zaproponowano mi natomiast, żebym zapisał się na kurs przygotowawczy do seminarium. Nawiasem mówiąc, były to zupełnie inne czasy. Ówczesne seminaria duchowne «pękały w szwach». Jak się jednak okazało, Opatrzność Boża – jestem o tym przekonany – prowadziła mnie dalej w moim powołaniu. Pomyślałem wtedy, że wstąpię do zakonu. Najbardziej znany mi był zakon benedyktynów w Tyńcu pod Krakowem i tam się udałem. Przyjął mnie przełożony, Piotr Rostworowski OSB, który po rozmowie powiedział mi, że mogę zostać przyjęty, muszę jedynie złożyć wymagane dokumenty. Radość zagościła w moim sercu. Z Tyńca wróciłem do Krakowa, bo stamtąd miałem zamiar pojechać pociągiem do domu. To właśnie wtedy wydarzyło się coś niezwykłego, co każe mi wierzyć, że to Boża Opatrzność poprowadziła mnie do kapłaństwa i życia zakonnego. W drodze na dworzec kolejowy w Krakowie, na moście Dębnickim, zupełnie przypadkowo spotkałem pochodzącego z moich stron księdza salwatorianina Alberta Spyry, który kiedyś był moim sąsiadem. Przystanęliśmy na moście i przywitaliśmy się. Powiedziałem mu, że pragnę dołączyć do zgromadzenia zakonnego i że właśnie wracam do domu po rozmowie w Tyńcu z ojcem Piotrem Rostworowskim. Ksiądz Albert od razu zaproponował mi, żebym wstąpił do salwatorianów, i zaprowadził mnie do prowincjałatu swojego zgromadzenia, który mieścił się wówczas niedaleko mostu Dębnickiego, przy ulicy Łobzowskiej 22. Ponieważ ówczesny prowincjał salwatorianów, ksiądz Zenon Zgudziak, przebywał akurat w Stanach

Zjednoczonych, gdzie wizytował nasze wspólnoty zakonne, zostałem – bardzo życzliwie – przyjęty przez jego zastępcę księdza Marka Piątkowskiego. Podczas rozmowy, kiedy wspomniałem mu o swoim żydowskim pochodzeniu, skomentował tę informację, mówiąc, bym zachował ją w tajemnicy i jej nie ujawniał. Upubliczniłem ją dopiero podczas obchodów złotego jubileuszu, czyli pięćdziesięciolecia swoich święceń kapłańskich. Jeśli zaś chodzi o procedurę przyjęcia mnie do nowicjatu, poproszono mnie o złożenie potrzebnych dokumentów, między innymi o poświadczenie ważności chrztu dziecka „znalezionego na dworcu kolejowym”. Potwierdzenie ważności sakramentu uzyskałem w dekreście podpisanym przez kardynała Stefana Wyszyńskiego Prymasa Polski. Nowicjat w Towarzystwie Boskiego Zbawiciela rozpocząłem w święto Najświętszej Marii Panny Matki Zbawiciela, 11 października 1962 roku, nieco później niż pozostali seminarzyści, którzy wówczas rozpoczynali naukę. Po odbyciu nowicjatu rozpocząłem studia filozoficzno-teologiczne, które ukończyłem w roku 1969, kiedy to przyjąłem święcenia kapłańskie. Udzielił mi ich w Mikołowie Jego Ekscelencja ksiądz biskup Herbert Bednorz. Już w seminarium marzył mi się wyjazd na misje. Wraz ze współbratem, Andrzejem Urbańskim SDS, zaczęliśmy się uczyć języka portugalskiego, co – jak sądziliśmy – umożliwiłoby nam wyjazd na misje do Brazylii. Po uzyskaniu święceń kapłańskich posługiwałem w kilku naszych placówkach w Polsce, czekając na wizę brazylijską. W czasach komunistycznych oczekiwanie na paszport, a następnie na wizę trwało bardzo długo. Ja uzyskałem wizę pierwszy i wyjechałem do Brazylii. Ksiądz Andrzej Urbański natomiast po trzech latach oczekiwania na wizę zdecydował się wyjechać na misje do Tanzanii w Afryce. I zapewne jego również poprowadziła tam Opatrzność Boża, bo po latach gorliwej posługi, którą właśnie w Tanzanii pełnił jako misjonarz, został wybrany Przełożonym Generalnym naszego zgromadzenia zakonnego. Ja zaś posługiwałem w Brazylii przez pięć lat, pełniąc funkcję proboszcza w salwatoriańskiej parafii w Fortalizie. Z powodu upłynięcia okresu ważności wizy musiałem jednak powrócić do Polski. Podjąłem starania o ponowne uzyskanie wizy, ale nie odniosły one skutku. W tamtym czasie przez kilka lat ponownie posługiwałem na placówkach salwatoriańskich w Polsce. Ostatecznie zmieniłem kierunek posługi misyjnej i w roku 1990 wyjechałem do Czech, gdzie potrzebowano wówczas duszpasterza. Tam też spędziłem kolejnych dwadzieścia pięć lat, a w roku 2014 na stałe już wróciłem do Polski”.

Zadałem wówczas księdzu Antoniemu pytanie, czy podjął jakieś poszukiwania dotyczące jego żydowskiego pochodzenia. Odpowiedział: „Tak! Na początek ujawnię, że w trakcie tych poszukiwań dowiedziałem się, iż cały transport Żydów wiezionych do Auschwitz pociągiem z Holandii, który z powodu awarii semafora zatrzymał się na stacji Nowa Wieś (Wirek) w tamtą burzliwą noc z 2 na 3 czerwca 1942 roku, został wymordowany. Wszyscy z tego transportu po przyjeździe do obozu skierowani zostali do komory ga-

zowej. Tylko ja jeden ocalałem. Dzięki przełożonemu austriackiej prowincji salwatorianów uzyskałem kontakt ze stworzonym przez Szymona Wiesenthala Żydowskim Centrum Dokumentacji w Wiedniu. Sieć takich centrów zaczęła powstawać od roku 1977, najpierw w Stanach Zjednoczonych, jako międzynarodowa inicjatywa żydowska służąca między innymi zachowaniu pamięci o Holokauście. Szymon Wiesenthal był żydowskim działaczem i tropicielem zbrodniarzy nazistowskich. Pojechałem zatem do Wiednia, aby tam dowiedzieć się jak szukać swoich żydowskich korzeni. Fakt, że mogłem tam porozumiewać się po polsku, bardzo ułatwił mi zadanie. Wiedeńskie centrum Szymona Wiesenthala umożliwiło mi wyjazd do Tel Awiwu, a następnie do Jerozolimy, kierując mnie do Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu Yad Vashem. W Jerozolimie wyznaczono dla mnie osobę towarzyszącą, która wprowadziła mnie do Yad Vashem i pomagała mi w przeszukiwaniu archiwów. Niestety dokumentacja dotycząca Żydów holenderskich okazała się niepełna i nie uzyskałem pełnej informacji o swojej żydowskiej rodzinie. Moje żydowskie pochodzenie potwierdziły wyłącznie badania DNA. Jedyna pewna informacja, jaką uzyskałem, była taka, że transport z Holandii do Auschwitz, w którym jako niemowlę podróżowałem, zginął w komorze gazowej. Zabrałem też z sobą do Yad Vashem zegarek kieszonkowy, który mój przybrany ojciec w tamtą pamiętną noc z 2 na 3 czerwca 1942 roku znalazł ukryty przy mnie, gdy odebrał mnie z pociągu jadącego do Auschwitz. Był to złoty zegarek na łańcuszku, ozdobiony sześcioma brylantami z wygrawerowanym napisem w języku hebrajskim: „Natan ben Israel Cohen”. To właśnie tam, w Yad Vashem, wytłumaczono mi jego sens. Zegarek był, zgodnie z żydowskim zwyczajem, prezentem, pamiątką przyjścia na świat dziecka – stąd też dowiedziałem się, że mam na imię Natan i jestem synem Izraela Cohena”.

Zapytany o osobistą refleksję dotyczącą jego żydowskiego pochodzenia i o wpływ jego żydowskich korzeni na kapłańsko-zakonną codzienność, ksiądz Antoni wyznał: „Cóż mógłbym powiedzieć? Czuję się stuprocentowym Polakiem. Panu Bogu dziękuję za powołanie kapłańskie i zakonne. Dziękuję za to, że jako sierota zostałem uratowany przed śmiercią, przygarnięty przez polską rodzinę, a w końcu znalazłem się w licznej salwatoriańskiej rodzinie zakonnej, rozsianej po całym świecie. Ale moje żydowskie pochodzenie również ma dla mnie bardzo duże znaczenie. Kiedy sięgam do Pisma Świętego i czytam o historii narodu wybranego, uświadamiam sobie, że tam sięgają moje korzenie. Uświadamiam sobie, że należę do narodu wybranego, którego historia prowadzi od Abrahama przez Mojżesza, Dawida, Salomona... Że z tego narodu wybranego, z którego się wywodzę, pochodzą Maryja, matka Jezusa, i święty Józef, Jego ziemski opiekun, i że to dla mnie wielki zaszczyt, że dzięki łasce Bożej i powołaniu, tak jak apostołowie, w swoim kapłańskim i zakonnym życiu poszedłem za Jezusem”.

Na zakończenie rozmowy serdecznie podziękowałem księdzu Antoniemu za podzielenie się z czytelnikami jego niezwykłą historią.

ABSTRAKT / ABSTRACT

Bronisław JAKUBIEC SDS – „Tylko ja jeden ocalałem”

DOI 10.12887/38-2025-2-150-19

Tekst powstał w osiemdziesiątą rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej dla upamiętnienia losów księdza Antoniego Myśliwca, który w roku 1942 jako niemowlę znalazł się w pociągu wiozącym Żydów z Holandii do obozu zagłady w Auschwitz. Na podstawie rozmowy z księdzem Antonim autor rekonstruuje historię jego niezwykłego ocalenia, dalszych losów i powołania kapłańskiego oraz jego próbę dotarcia do swoich żydowskich korzeni.

Słowa kluczowe: Holokaust, Auschwitz, Yad Vashem, pomoc Żydom podczas Zagłady

Kontakt: Instytut Jana Pawła II, Wydział Filozofii, Katolicki Uniwersytet Jana Pawła II, Al. Raławickie 14, 20-950 Lublin
E-mail: jakubiec@sds.org

Bronisław JAKUBIEC, SDS, “I was the only one who survived”

DOI 10.12887/38-2025-2-150-19

Written on the eightieth anniversary of the end of the Second World War, the essay commemorates the life of Fr. Antoni Myśliwiec, who, in 1942, a newborn baby at the time, was put on a train transporting Dutch Jews to Auschwitz. Based on an interview with Fr. Antoni, the author reconstructs the story of his incredible survival, his life, vocation to the priesthood, and his attempt to get to know his Jewish roots.

Translated by *Dorota Chabrajka*

Keywords: Holocaust, Auschwitz, Yad Vashem, rescue of Jews during the Holocaust

Contact: John Paul II Institute, Faculty of Philosophy, John Paul II Catholic University of Lublin, Al. Raławickie 14, 20-950 Lublin, Poland
E-mail: jakubiec@sds.org